

Obrus obfitości

Red Plenty Francisa Spufforda i nowa historografia ZSRR

Jarosław Pietrzak

Tariq Ali pisał niedawno o „szerszym trendzie, który towarzyszył globalnemu zwycięstwu systemu amerykańskiego, w którym historii zostały przepisane na nowo, nawet monarchizm i religia przedstawione znów w pozytywnym świetle, a każda idea radykalnej zmiany wyrzucona na śmietnik”[1]. Wiele z tej roboty przepisywania dziejów nowożytnych, w akademickiej historiografii, beletrystyce i dziełach bardziej „literackich”, odbywa się siłami skrybów dłubiących w języku angielskim, „organicznym intelektualistów” zwycięskiego anglosaskiego neoliberalnego kapitalizmu, którego triumfalnie akumulowane fundusze (domów wydawniczych, najpotężniejszych uniwersytetów) pozwalają owym skrybom prowadzić latami oszalałymi drobiazgowo badania przedmiotu, by przedmiot następnie ująć w odpowiednich kategoriach. Następnie, za sprawą potęgi anglosaskich przemysłów kultury, rozchodzi się ta robota najszybciej po całym świecie. Owa potęga i owe przemysły zdominowane są, co prawda, przez sektory audiowizualne, ale hurtem korzysta na tym także produkcja książkowa, odcinająca kupony od dominującej pozycji języka, w którym wytwarza, dzięki której oprócz kilkuset milionów *native’ów* ma jeszcze do dyspozycji najliczniejsze międzynarodowe rzesze tłumaczy, którzy w przypadku sukcesu publikacji w przeciągu dwóch lat będą ją już mieli przełożoną na kilkadziesiąt języków. Nie ma się co dziwić, że w całym tym przepisywaniu historii niepoślednie miejsce i alokacja wystarczających sił ludzkich przypaść musiały najbardziej krytycznemu z tematów: Związkowi Radzieckiemu.

„Zło” i ZSRR

Z czysto literackiego punktu widzenia, a nawet i pod względem historycznego rzemiosła (gromadzenia i porządkowania faktów, także nowych, w sensie: wcześniej nieznanymi), rezultaty czasem – przyznać trzeba – były co najmniej dobre. Do szczytowych osiągnięć tego podejrzanego nurtu należą te zapisane na kontach Simona Sebagi Montefiore i Williama Taubmana. Przy czym wyraźnie (choć dziwnie) zafascynowany Rosją Montefiore i jego *Stalin: Dwór Czerwonego Cara*[2] wraz z prequelem *Stalin: Młode lata despoty*[3] wyrasta bardziej z tradycji myślenia o tej części świata, którą by można nazwać kulturalistyczną – wszystko, od caratu, poprzez stalinizm, po kleptokrację epoki Jelcyna, bierze się u niego z ponadczasowych, strukturalnych, niemal metafizycznych właściwości rosyjskiej kultury, żeby nie powiedzieć rosyjskiej „duszy”, podczas gdy Taubman ze swoją monumentalną biografią Chruszczowa (*Khrushchev: The Man. His Era*)[4] wywodzi się raczej z tradycji konserwatywnej amerykańskiej historiografii analizującej Związek Radziecki, jego dzieje i politykę, jako Zło, z którym – mniej lub bardziej – „walczą”.

Nawiasem mówiąc, pewne pasáže Taubmana przydałoby się uczynić lekturą tych polskich antykomunistów, którzy PRL postrzegają jako poddaną grabieży i eksploatacji kolonię ZSRR. Sam zatwardziały antykomunista, Taubman, wśród wielu ekonomicznych irracjonalizmów ZSRR podporządkowujących efektywność ekonomiczną reprodukcji władzy KPZR i szalonej ideologii, wymienia... okresowe niedobory podstawowych dóbr konsumpcyjnych spowodowane Chruszczowa decyzjami o wysyłaniu ich do Europy Środkowej i Wschodniej celem ratowania słabszych gospodarek „imperium zewnętrznego”...

Montefiore i Taubman są aż fascynujący w tym, jak bardzo zaklinają opisywaną przez siebie rzeczywistość historyczną, która nawet z tych ich opisów wydaje się chcieć przemówić inaczej, niż to czynią opatrujące ją ich autorskie oceny i komentarze. U Montefiore w *Młodym Stalinie* skandaliczne warunki, w jakich żyją robotnicy, których wyniszczająca praca finansuje olśniewające pałace nadkaspijskiej naftowej burżuazji, są jedynie „podatnym gruntem” dla szerzenia szkodliwej marksistowskiej „ideologii”. U Taubmana z kolei komunizm jest – tam gdzie wyraża on *explicite*

swoje poglądy - „ideologią”, która zwraca się w sposób fałszywie faworyzujący do klasy robotniczej, w istocie szkodząc jej długoterminowemu „obiektywnemu interesowi” (sic!). Jednocześnie opisuje on, jak przed Rewolucją Październikową jedynie nieliczna elita klasy robotniczej w niektórych silniejszych ośrodkach przemysłowych żyła w godziwych warunkach; pokazuje nawet trochę, jak wraz z implozją Związku Radzieckiego te same miasta stają się na powrót cywilizacyjnymi dziurami lub pustyniami; a pomiędzy tymi cezurami ledwie początkowo piśmienny robotnik pochodzenia chłopskiego, główny bohater jego tomiszczą, został przywódcą mocarstwa światowego i jednym z najpotężniejszych ludzi na świecie, nie mówiąc już o tym, że w tym samym okresie dziesiątki milionów ludzi na przestrzeni jednego pokolenia przenosiły się z relikwów feudalizmu w nowoczesność...

Radzieccy *self-made men*?

No, właśnie, trudno oprzeć się wrażeniu, że – świadomie, czy nie – obydwu przyciągnęło w bohaterach coś na kształt spełnienia się w ich postaciach mitu „od pucybuta do milionera”, w dziwacznie zmodyfikowanej wersji, bo w procesie społeczno-politycznym, który zapowiedział (czy obiecał) zniknięcie systemowych podstaw dla istnienia milionerów. I jednocześnie na skalę jakości nieporównywalnie większą i „prawdziwą”, niż w tegoż mitu ojczyźnie i ziemi świętej. Książki Montefiore i Taubmana napisane są trochę jak hollywoodzkie scenariusze, albo tak, jakby tylko czekały na telefon z Warner Bros. Taubman operuje konstrukcją klamry i gigantycznej retrospekcji, niczym późny Sergio Leone; Montefiore po hollywoodzku dopisał do pierwszego tomu *prequel*. Główni bohaterowie są nakreśleni tak, by rolę w potencjalnej ekranizacji można było natychmiast zgłosić do Oscara. Nie odejmuje to jednak nawet odrobiny z negatywnej oceny projektu polityczno-ekonomicznego, którego Stalin i Chruszczow byli aktorami – w przypadku pierwszego z nich na w znacznym stopniu tragiczne nieszczęście tego projektu. Gdyby w tej wersji trafili na ekrany, świat przedstawiony byłby przedmiotem fascynacji, ale powiedzmy takiej, jak w wielkich filmowych portretach zbiorowych mafii.

Szczególnie Stalin Montefiore napisany jest jako postać jakby na miarę mitycznych kazirodców i ojcobójców – zbrodniarz niemal nieprzejawiający innych ludzkich uczuć, niż żądza władzy i dominacji, fizycznie oszpecony, ale jednocześnie zdobywający kobiety, pokonujący wszystkie przeszkody, jakby niezniszczalny. Do tego piszący pod pseudonimem wiersze, które przytoczone w całości otwierają kolejne partie *prequela*. Mitopodobna „monumentalizacja” postaci wpisana jest tu w przedsięwzięcie odsyłające realną politykę (tzn. taką, która zamiast zajmować się wizerunkami, nie ukrywa problemu kapitału, niesprawiedliwej dystrybucji zasobów oraz antagonizmów z nich wynikających) oraz możliwość samego choćby pomyślenia alternatywy dla kapitalistycznej formy uspołecznienia, w przeszłość absolutną, do której wszystkie drogi zostały już zasypane a mosty spalone, bo ostateczny horyzont historii osiągnięty został wraz ze zwycięstwem anglosaskiego kapitalizmu i jego formalnej legitymizacji w postaci procedur demokracji liberalnej.

Aż tu nagle ukazała się (w ubiegłym roku) najnowsza powieść Francisa Spufforda *Red Plenty* opatrzona wiele mówiącym podtytułem *Industry! Progress! Abundance! Inside the 1950s Soviet Dream*[5]. Stając się jedną z głośniejszych pozycji na brytyjskim rynku literackim ostatniego roku. Prestiżowy „London Review of Books” poświęcił jej parę stron swojego obszernego formatu[6]. Gdy chodziłem po mieście z książką w ręce, nie mogąc się od niej oderwać, przypadkowo napotkani ludzie – na wykładzie w British Museum, na premierze fenomenalnego wydania kompletu listów Róży Luksemburg po angielsku – zaczepiali mnie podekscytowanymi „Czytasz *Red Plenty*?” – „Ja właśnie dostałem w prezencie”, „Świetna książka”.

Powieść i skazka

Powieść? Powieść, ale uzupełniona przypisami i potężną bibliografią przedmiotu. Przedmiotu? Historii ekonomicznej Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Powieść, ale taka, w której mozaika bohaterów (w tym postaci historyczne, jak Nikita Chruszczow czy Leonid Kantorowicz, laureat nagrody Banku Szwecji, zwanej ekonomiczną Nagrodą Nobla) wpada na jej karty jedynie w odwiedzinie, w większości przypadków tylko na czas jednego rozdziału, bo jej główną bohaterką jest Idea, a wszystkie postaci (w ścisłym sensie słowa 'postać') są nosicielami jej kolejnych historycznych stadiów, tymi, którzy na różne sposoby w nią lub jakieś jej odbicie wierzyli, oraz tymi, którzy ją skorumpowali i pogrzebali. Powieść, która jednak sama przedstawia się czytelnikowi takimi słowami:

„To nie jest powieść. Ma zbyt wiele do wyjaśnienia, by być jedną z nich. Ale nie jest to też książka historyczna, ponieważ skutecznie swoje wyjaśnienia w formie opowieści; tyle, że opowieść ta jest opowieścią o idei, i dopiero potem, w rzutach okiem na kolejne tony dziejów tej idei, opowieścią o zaangażowanych w nią ludziach. Idea jest bohaterem. [...] Najlepiej nazwać to bajką – nawet jeśli to się naprawdę zdarzyło – to, lub coś podobnego. I nie jakąś-tam-kolwiek bajką, a bajką specyficznie rosyjską, która podąża tym samym tropem, co opowieść o Babie Jadze i Szklanej Górze, spisana przez folklorystę Afanasjewa, gdy ten zapuścił się w czarną rosyjską ziemię pod jej szerokim niebem w XIX stuleciu.

Podczas gdy zachodnie bajki zaczynają się przenosząc nas w inne czasy – słowami 'dawno, dawno temu', czyli kiedy indziej, *wtedy* raczej niż teraz – rosyjskie *skazki* dokonują korekty miejsca. 'W pewnej krainie', zaczynają się; albo 'w dwudziestym siódmym królestwie...' Znaczą to gdzie indziej, *tam* raczej niż *tutaj*. Choć owe gdzie-indziej zawsze są rozpoznawalne jak dom. Tam daleko zawsze będą otoczone drewnianym murem miasta, w których kościoły mają kopuły jak cebule. Władca będzie carem, Iwanem lub Władimirem. Ziemia jest zawsze czarna. A niebo szerokie. To Rosja, zawsze ta sama Rosja, ukochane i straszne, przeogromne terytorium na krawędzi Europy, wielkie jak cała Europa razem wzięta. Ale i nie, zarazem. To Rosja opowieści, nie prawdziwa Rosja; miejsce nigdy doskonale nie pokrywające się z krajem o tej samej nazwie. Jest do niej tak blisko jak życzenie do rzeczywistości, i równie daleko. Bo bajki dostarczały tego, czego prawdziwemu krajowi brakowało, gdy opowiadali je chłopcy, a spisywał Afanasjew.

Pola prawdziwej Rosji dawały chude plony gryki i żyta. Bajkowa Rosja miała zaczarowane obrusy serwujące niekończące się uczty. Drogi prawdziwej Rosji były z błota i kolein. Bajkowa Rosja opływała w środki radosnej prędkości: latające dywany, powietrznych dżinów, konie, które ledwie zginały trawę, ponad którą mknęły. Prawdziwa Rosja zamroziła swój lud w ospałej społecznej immobilności. Bajkowa Rosja wysyłała swoich pełnych życia chłopców na poszukiwanie ognistego ptaka lub by zalecali się do Łabędziej Dziewicy. Bajki były snem, który odpychał defekty rzeczywistości.[...]

W dwudziestym wieku Rosjanie przestali opowiadać *skazki*. I w tym samym czasie powiedziano im, że *skazki* stają się rzeczywistością. Nazwa, jaką w bajkach nosił latający dywan, *samolet*, 'samo-lot' stała się powszechną rosyjską nazwą dla statku powietrznego. Potem głosy z radia i ekranu kinowego i telewizyjnego zaczęły obiecywać, że zaczarowany obrus, *samobranka*, 'samo-zaopatrznik', ma nadejść wkrótce po nim. 'W naszych czasach' – powiedział Chruszczow tłumowi zgromadzonemu na Stadionie Lenina w Moskwie 28 września 1959 – 'marzenia ludzkości, pielęgnowane przez stulecia, a wyrażane w bajkach, które wydawały się zwykłą fantazją, są właśnie ludzkimi rękoma tłumaczone na rzeczywistość'. Miał przede wszystkim na myśli marzenie *skazek* o obfitości. Pradawny ludzki stan niedostatku miał dobiec końca, już niebawem." [s. 3-4]

Red Plenty ma niezwykle złożoną konstrukcję złożoną z części podzielonych na niewielkiej objętości rozdziały, które nie wiążą się w żaden bezpośredni, fabularny ciąg przyczynowo-skutkowy oparty na jednym czy grupie bohaterów, których losy śledzimy. Tutaj też jednak trudno oprzeć się filmowemu skojarzeniu – tyle, że każda z miniatur składających się na powieść sprawia wrażenie misternej filmowej miniatury bądź dowcipnej dwudziestominutowej etiudy fabularnej, a nie, na którą

wszystkie są nawleczone, to losy idei postępu. Postępu, który wszystkim wreszcie zapewni dostęp do spełnienia ludzkich potrzeb. Równy dostęp – bo materialne potrzeby wszystkich ludzi są fundamentalnie takie same, fundamentalnie i z zasady niedostępne wszystkim na równych prawach w kapitalistycznej formie społecznienia. Głód, chłód i niedostatek nie są jedynymi cierpieniami istoty ludzkiej, ale kiedy te uda się zlikwidować, tymi mniej bezpośrednio materialnymi zając się będą mogli artyści, pisarze czy filozofowie, jak to kwituje jeden z galerii bohaterów.

Niewydajny Związek Radziecki?

Częścią współczesnej „wiedzy potocznej” jest, że Związek Radziecki, a wraz z nim cały „Blok Wschodni”, uległy implozji, bo ulec jej musi każdy twór społeczno-ekonomiczny o tym stopniu złożoności, który nie daje się „regulować” wyłącznie „niewidzialnej ręce rynku”. Załamały się ekonomicznie, bo gospodarka centralnie planowana jest – wedle tej potocznej wiedzy – niewydolna z natury i definicji. Tylko, że owa wiedza potoczna jest już produktem neoliberalno-neokonserwatywnego przepisywania historii. Co najmniej do końca lat 60. XX wieku mało kto, chcąc być traktowany poważnie, mógł w celu dyskredytacji Związku Radzieckiego czy Bloku Wschodniego używać argumentu jego niewydolności ekonomicznej. Nawet sceptycznie, przez największych wrogów weryfikowane w dół, wskaźniki radzieckiego wzrostu gospodarczego pozostawały zawrotnie wysokie i oprócz Japonii nikt na przestrzeni pierwszych dekad po drugiej wojnie światowej nie wytrzymywał porównania z szybującą w górę machiną radzieckiej gospodarki. Na przełomie lat 50. i 60. Zachód raczej obawiał się, czy na dłuższą metę „wolny świat” sprosta konfrontacji.

Weryfikowanie radzieckich wskaźników w dół brało się stąd, że Związek Radziecki (i jego blok), z gospodarką oficjalnie nastawioną na produkcję wartości użytkowej, a nie wymiennej, obliczał swój wzrost w sposób niekompertybilny ze sposobem, w jaki to czynił świat kapitalistyczny, który sumował dochód wszystkich mieszkańców poszczególnych krajów (czyli Marksowską wartość wymienną). Związek Radziecki obliczał wzrost *produkcji materialnej*. Sceptyczne weryfikowanie w dół np. przez CIA i później ekonomistów liberalnych brało się z założenia, że nie należy w takiej sytuacji np. surowej stali liczyć osobno i dodawać ją do później z niej wytworzonych produktów radzieckiego przemysłu ciężkiego.

Strategy and Tactics in Soviet Foreign Policy J.M. Mackintosha[7], na ten przykład, której stary egzemplarz (książka z 1962 r.) wpadł mi w Londynie w ręce w odrobinę kryminalnych okolicznościach, pokazuje ówczesne spojrzenie Zachodu na system, który zdaniem tych, którzy dla zwycięzców przepisują dziś także historię gospodarczą, od początku był niewydolny, wytwarzający biedę i skazany na śmierć z niewydajności. Jest w tej pozycji rozdział poświęcony radzieckiej potędze gospodarczej i nieprawdopodobnemu tempu jej wzrostu jako jednemu z narzędzi rywalizacji politycznej „Kraju Rad” z Zachodem. Choć daleko było ZSRR od samej choćby możliwości potencjalnego prześcignięcia gospodarki amerykańskiej i osiągnięcia światowej dominacji ekonomicznej, to całkiem skutecznym instrumentem radzieckiej polityki międzynarodowej było przedstawianie własnego, centralnie planowanego modelu gospodarki jako bardziej atrakcyjnego dla Trzeciego Świata, którego krajom można było oferować modele instytucjonalne wraz z różnymi formami wsparcia, tym samym przykrawając strefy wpływów Zachodu. W czasach Mackintosha w miarę zorientowani ludzie wiedzieli, że niższy w ZSRR niż na Zachodzie poziom życia (liczony np. w ilości „trwałych” dóbr konsumpcyjnych – samochody, lodówki, telewizory, itd. – na 1000 mieszkańców) nie wynikał wcale ze słabości i niewydajności radzieckiego modelu ekonomicznego, ale ze poziomu, z jakiego radziecka gospodarka startowała. Czyli z tego, co tam było wcześniej. Z dziedzictwa rozwoju kombinowanego kapitalizmu (pół)peryferyjnego ostatecznie nie udało się

wyrwać, co wiemy dzisiaj, ale wtedy nikt przy zdrowych zmysłach nie utrzymywał, że to socjalistyczna niewydajność jest źródłem przepaści między Pierwszym a Drugim Światem.

Przez długi czas dyskredytacji Związku Radzieckiego dokonywano więc przy użyciu argumentów z repertuaru von Hayekowskiej „drogi do poddaństwa” i okolic. Centralnie planowana gospodarka była dla swych wrogów źródłem nieuchronnego zniewolenia. Wolny rynek – warunkiem możliwości ludzkiej wolności. Opowieść o nieuchronnej i zabójczej w końcu niewydajności odebrała im pole w znacznej mierze po fakcie. Im pewniej kapitalizm kroczył ścieżką zwycięstwa, tym głębiej schował opowieść o wolności. Kiedy wroga ani alternatywy już nie ma, nie jest mu potrzebna nawet jako propagandowy pic. Rozmiary i stopień panoptycznej kontroli i inwigilacji życia każdego człowieka w państwach rozwiniętego kapitalizmu wyprzedziły do dzisiaj o całe długości wszystko, co zdołał w tej dziedzinie, w najgorszych swych okresach, osiągnąć Związek Radziecki. W Wielkiej Brytanii torysi wkrótce za podstawę odcinania zasiłków osobom bezrobotnym i innym wcześniej uprawnionym do pomocy państwa zaczęły używać danych gromadzonych przez *credit score agencies*, dotyczących tego, na co osoby te wydają pieniądze (np. zamiast biczować się na pryczy wpatrzeni w biel sufitu, wdzięczni, że żyją, mają czelność oglądać telewizję kablową, prenumerują czasopisma lub chodzą na basen). Na podstawie danych gromadzonych z zarejestrowanych *oyster cards* i wszechobecnych kamer londyńska Metropolitan Police jest dzisiaj w stanie odtworzyć kroki niemal każdego mieszkańca miasta, któregokolwiek dnia na przestrzeni ostatnich kilku lat.

Obietnica i katastrofa

Seria miniatur, poprzez które Spufford snuje swoją narrację, ukazuje zarówno wielkość samego projektu (porywającego się wszak w ostatecznej, teleologicznej perspektywie na uwolnienie *wszystkich* ludzi od cierpień materialnego niedostatku), jak i rozmiary pułapek i skalę wewnętrznych sprzeczności, o jakie radziecki projekt społeczny musiał się potykać, i na których później się wyłoży, choć książka w sensie dosłownym nie wybiega naprzód poza rok 1970.

Młody absolwent ekonomii, Emil, wysłany na głęboką wieś trafia (w roku śmierci Stalina) do ludzi, do których dobrodziejstwa radzieckiego postępu gospodarczego wciąż nie dotarły, miejscowy sklepik zamiast łączyć ich z tego postępu produktami, jest co najwyżej jego parodią. Idąc wiejską drogą i przez pola, Emil zastanawia się, jak to, co mu na studiach przedstawiono jako ukoronowanie marksistowskiej teorii ekonomicznej, *Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR* Józefa Wissarionowicza, mogą się w ogóle nazywać, jak się nazywają, skoro wygląda z nich, jakby w socjalistycznej ekonomii nie było już żadnych problemów, wszystko zostało rozwiązane i ma już gotową formułę, którą należy tylko przyłożyć. Jak to nie ma problemów, skoro ludzie, do których Kreml wysłał go na jakieś administracyjne stanowisko, żyją w dziwnym potrzasku między gospodarką nakazowo-rozdziałczą, na której „łańcucha pokarmowego” znajdują się zadnim końcu, a ekscesami wyrastającego w tej sytuacji lokalnego rynku „równoległego” o wymuszonym „spontanycznym” charakterze? Czyżby to mechaniczne podejście do problemów ekonomii, jakby była nauką ścisłą (grzech, w którym w ostatnich dekadach XX wieku pogrąży się prawie cały świat, a już na pewno całe jego klasy rządzące), były już źródłem rozwoju wśród elit akademickiej ekonomii bakcyła technokratyzmu (w różnych epizodach powieści poznamy kilku nosicieli), który z czasem wykształcił środowisko, w którym tak znakomicie przyjmie się zaraza neoliberalizmu? Spufford wyraźnie mówi w swoim komentarzu opublikowanym na łamach dziennika „The Guardian” jeszcze przed ukazaniem się książki, że choć jego zdaniem źródłem wielu kluczowych problemów radzieckiej gospodarki była nieobecność rynku jako mechanizmu regulującego ceny i tym samym racjonalizującego podaż i popyt, rozłożyła ją właśnie próba wyleczenia tych bolączek... receptami ekonomii neoklasycznej, tej samej, która w Polsce wciąż uchodzi za jedyną naukową

ekonomię, już wtedy, na etapie centralnego planowania, bo „ekonomiści neoklasyczni prawdopodobnie po prostu myślą się co do tego, jak naprawdę działa kapitalizm”[8]. Mieszkańcy miast naukowych w rodzaju Akademiogrodoka (do którego zresztą autor pojechał w poprzedzającym piśmie okresie dokumentacji) korzystają nie tylko z możliwości realizowania swoich pasji, ale i z przywilejów dostępu do dóbr inaczej bardzo ograniczonych, które do takich miejsc trafiały na zasadzie pierwszeństwa. To struktura klasowa, którą Slavoj Žižek podejrzewa o ustanowienie prototypu dla modelu nierówności klasowych właściwych dla późnego, płynnego kapitalizmu, w którym żyjemy obecnie („dostęp” jako wyznacznik pozycji w strukturze społecznych nierówności).

Spufford szkicuje pewną trajektorię systemu, który nie spełnił swojej obietnicy, ani marzenia, które za nim stało, i dla którego popełniono także straszne zbrodnie, bo wpadł w koleiny, z których trudno było zawrócić, na szlak sprzeczności, które ostatecznie przekształcą go na powrót w wulgarny kapitalizm peryferyjny. Drugą miniaturą powieści jest epizod podróży Chruszczowa do Stanów Zjednoczonych, z którego Nikita Siergiejewicz wyłania się jako pochłonięty marzeniem prześcignięcia największego kapitalistycznego imperium swoich czasów – przez ulepszoną imitację jego metod. Co później zostanie gdzieś nazwane teorią konwergencji. W wyobraźni Chruszczowa i szeregow wyznawców tego samego marzenia Związek Radziecki miał ostatecznie okazać się lepszy – centralnie sterowany, mógł z nieporównanie większym rozmachem racjonalizować wydajność i wzrost niż z natury pogrążone w chaosie rynku i „konkurencji” kasyno kapitalizmu. Związek Radziecki mógł się stać jednym wielkim, w skoordynowany sposób wymyślonym i bez porównania wydajniej zarządzanym przedsiębiorstwem. Podporządkowanym wymogom efektywności i wzrostu. Z masową produkcją tanich i dostępnych hamburgerów jako ideałem przeciwstawionym francuskim fanaberiom tysięcy gatunków serów, od krowy na każdym stoku o innej nazwie i smaku. Z ujęcia Spufforda wynika w pewnym sensie, że ZSRR owszem, upadł, ale raczej dlatego, że każdy system podporządkowany bezwarunkowo wydajności i wzrostowi wpada ostatecznie w pułapkę własnych absurdów i musi się załamać. Gdy zamiast potrzeb społecznych system ekonomiczny słucha niewolniczo i za wszelką cenę jedynie oczekiwań „efektywności” i „wzrostu”, te dwa cele, z konieczności mierzone według wybranych (zawsze w jakimś stopniu *a priori*) kryteriów, w pewnym momencie stają się własnymi parodiami. Budowa na zawsze pustych mieszkań opłaca się bardziej niż budowa mieszkań dla ludzi (neoliberalna Hiszpania), a wydajność transportu jest mierzona w przez wzrost tonażu i sumy kilometrów, jakie ten tonaż przemierza (na rozwój i postęp statystycznie zaczyna wtedy wyglądać wożenie wszystkiego coraz bardziej okrężnymi drogami).

Strona, którą historia nie podąża

Bajka Spufforda opowiada historię Idei, która przegrała starcie ze sprzecznościami w realiach historycznych, w których próbowano uczynić ją ciałem. Ale stawia sprawę jasno: radziecki projekt społeczny, choć przelał krew i uległ katastrofalnym skrzywieniom, nie z żądzę krwi się zrodził, ani ze zbrodniczego pragnienia ucieleśnienia sprzecznego z ludzką naturą Zła, zaprojektowanego już z premedytacją na kartach dzieł Karola Marksa, jak chciałaby historiografia intelektualistów organicznych neoliberalnego kapitalizmu od kilku dziesięcioleci. Zrodził się z pragnienia spełnienia tego wszystkiego, co w zakresie emancypacji ludzkiej i postępu – jako ratującego człowieka (*wszystkich ludzi*) od strachu przed głodem, chłodem, niesprawiedliwością i przemocą – obiecało Oświecenie, ale uwięzione dotąd w ramach racjonalności kapitalistycznej i jej rozumu instrumentalnego nigdy nie zdołało (i w tych ramach nie zdoła) zrealizować.

Trzecia z miniatur tej opowieści (*Plastikowe kubeczki*) za jedną z bohaterów ma Galinę. Wtedy jeszcze młoda studentka i członkini Konsomołu, odwiedza pierwszą amerykańską wystawę w Moskwie (1959). Na wystawie cuda amerykańskiego dobrobytu prezentują młodzi Amerykanie,

głównie studenci rosyjskiego. Jest wśród nich czarnoskóry Roger Taylor. Galina wdaje się z nim w coś na kształt niemal awantury.

„- Dlaczego pan cały czas mówi *my*? – przerwała mu. – Dlaczego cały czas pan mówi, jakby pan był w pełni w to włączony? [...] ‘My Amerykanie’, ‘my to’, ‘my tamto’. Ale biali Amerykanie wcale nie traktują pana jako równego, prawda? Pan jest z Virginii, a Virginia, jak sądzę, jest na południu Stanów Zjednoczonych. Tak więc oni nawet wody tej samej, co oni, panu pić nie pozwolą.[...]”

Podnoszę tę kwestię, bo u nas, w Związku Radzieckim, wszystkie narodowości –

– To prawda – odpowiedział, wyprzedzając ją. – To, co pani mówi. To prawda. Obecnie. Ale to tylko lokalne prawo; może się zmienić, i jeśli mnie pani pyta, zmieni się. Ale Deklaracja Niepodległości się nie zmieni, a wie pani, co ona mówi? Ona mówi ‘Wszystcy ludzie zostali stworzeni równi’.

[...]

– Nie wiem, co dobrego z tego wynika, że te słowa są napisane na kartce papieru. W rzeczywistości one są kłamstwem. – powiedziała. – W rzeczywistości te słowa są kłamstwem, czyż nie, skoro są w sprzeczności z tym, co się rzeczywiście dzieje?” [s. 55-56]

Nie chodzi bynajmniej o trywialne „A w Ameryce Murzynów biją”. Chodzi o to, że utopijny wymiar radzieckiego projektu społecznego był projektem na swoim najprawdziwszym poziomie pozytywnym i – co więcej – będącym kontynuacją tych kilku naprawdę najważniejszych i najpiękniejszych wartości, które od stuleci pragnęły sprowadzić kroki historii na lepszą stronę. Choć projekt ten przegrał, był próbą urzeczywistnienia tych kilku wartości „tu i teraz”, w odpowiedzi na ich fundamentalną nierealizowalność w ramach tego, co możliwe, gdy władzę sprawuje Kapitał.

„- Spójrz – powiedziała, wskazując na scenę. – Tam jest następne kłamstwo. – Przewodnicy na scenie przestali właśnie tańczyć i zaczęli odgrywać scenę wesela przy dźwiękach powolnej muzyki organowej. Dwoje przewodników odgrywających weselnych gości, mężczyzna i kobieta, również byli Czarni. – Pokazujecie nam białych i czarnych ludzi zachowujących się jak przyjaciele, podczas gdy w waszych własnych gazetach zostało to zaatakowane jako obrzydliwe, żeby Czarni i biali ludzie byli razem na weselu.

– Kilku senatorów protestowało. Jak pani widzi, przegrali ten spór i scena wesela wciąż jest w przedstawieniu.

– W przedstawieniu tak, a w rzeczywistości? Czy to by się naprawdę zdarzyło? Jakoś nie sądzę.

– Może nie w tym roku – odpowiedział Roger Taylor, napinając głos. – Ale zapytaj za rok. Zapytaj jeszcze raz za pięć lat.

– I to wam wystarczy, tak? – zapytała głosem, który sam jej się unosił – że za pięć lat sprawy mogą się mieć troszeczkę lepiej? Sądzisz, że to w porządku tak czekać, czekać i czekać? – wydawało jej się, że wygrywa to starcie, ale bańka paniki zaczęła wyslizgiwać się na wolność.

On wziął głęboki oddech przez nos – i gapił się na nią. – Nie – powiedział. – Nie sądzę, że to wystarczy. Powiedz mi, co twoim zdaniem nie jest tak, jak powinno być, w Rosji?” [s. 56-57]

Jakie z największej dwudziestowiecznej „katastrofy prawdy” wyciągnąć wnioski? Że realizacja tych kilku piękniejszych wartości zawsze przegrywa – i najlepiej się z tym pogodzić? Czy że na naszych barkach spoczywa wciąż ten sam obowiązek odnawiania prób ich urzeczywistnienia? Zwycięska – póki co – neoliberalna „alternatywa” dowiodła już, ale nie wyczerpała jeszcze potencjału i skali spustoszenia, które jest w stanie przynieść. Rzekomy kres neoliberalizmu, mający się wyrażać publiczną skruchą paru Greenspanów tego świata i kilkoma drobnymi, taktycznymi ustępstwami w postaci interwencji w realną gospodarkę, czy to Francji, czy Niemiec, jest tylko zestawem pozorów pozwalających na kilka przetasowań, by wszystko mogło pozostać takie samo. Kościół Neoliberalny nie oddał ambon, ołtarzy, ani miejsc za uszami królów. Wyczekując końca burzy, jego duchowieństwo i ministranci otworzyli jedynie wentyl

bezpieczeństwa, karnawał, w którym nawet w dużej telewizji można powiedzieć, że są też inne teorie w ekonomii. Przez chwilę. W międzyczasie „dostosowaniu” (SAPizacji) ulegają już nie tylko kraje trzeciego świata, ale kraje Unii Europejskiej. Nie tylko te najsłabsze (Grecja, Portugalia), ale także niedawne tygrysy (Irlandia) a nawet jeden z głównych ośrodków akumulacji kapitału na skalę światową (Wielka Brytania).

Spufford napisał na łamach „Guardiana”:

„[...]wyobrażenie ZSRR, przez krótko żywione przez Zachód w późnych latach 50. i wczesnych 60. nie było jedynie złudzeniem. Było przesadzonym obrazem czegoś prawdziwego; raportem z prawdziwej pewności celu, realnego poczucia sukcesu Moskwy, które Zachód pomógł sfalszować, tłumacząc je na zachodnie kategorie, no i wykołegować je, wpędzając w zachodnie oczekiwania. Wtedy jednak dla Związku Radzieckiego coś naprawdę szło dobrze, coś szło po myśli, co my teraz ryzykujemy wymieść daleko z pola widzenia, jak wszystkie te epizody w historii, które wskazywały kierunek potem nie podjęty, i które przez to odmawiają wpasowania się w przyjętą po fakcie perspektywę narracji, na którą przerabiamy przeszłość dla naszej wygody”.

Przypisy:

- [1] Tariq Ali, On Mao's Contradictions, „New Left Review” nr 66 Nov./Dec. 2010.
- [2] Simon Sebag Montefiore, Stalin: Dwór Czerwonego Cara, tłum. Maciej Antosiewicz, Warszawa: Magnum, 2004.
- [3] Simon Sebag Montefiore, Stalin - Młode lata despoty: Zanim powstał dwór Czerwonego Cara, Poznań: Świat Książki, 2008.
- [4] William Taubman, Khrushchev: The Man. His Era, New York: W.W. Norton, 2003.
- [5] Francis Spufford, Red Plenty: Industry! Progress! Abundance! Inside the Fifties' Soviet Dream, London: Faber and Faber, 2010. Cytaty z książki podawane dalej według tego wydania.
- [6] J. Hoberman, America comes to the USSR, „London Review of Books”, 6 Jan. 2011.
- [7] J.M. Mackintosh, Strategy and Tactics of Soviet Foreign Policy, London: Oxford University Press, 1962.
- [8] Francis Spufford, Red plenty: lessons from the Soviet dream, „The Guardian” 7 Aug. 2010.